

INSPEKTOR McDEVIL

(za zezwoleniem „Sodomastic Magazine”)

Inspektor McDevil z typową dla siebie flegmą wyjął z kieszeni trencza papierosa i ostentacyjnie włożył go do ust. Podobnie leniwym gestem wyciągnął połyskującego srebrzyście „Ronsona” i zapalił.

Był cichy, wrześnieowy wieczór – ciepły lecz z lekka mglisty. Szal mgły obejmował wraki domów i nowoczesne igłowce wielomilowej Central Street. Dokładnie co dziewięćdziesiąt jardów blask zapalanej rtęciówki rozjaśniał ocean mgły i ciemności.

Inspektor bacznie, spod przymrużonych powiek obserwował ulicę. Na pierwszy rzut oka była spokojna i pusta, w miarę czysta, żadnych „hippie” czy innych elementów. Ale były to tylko pozory. Nie na darmo bowiem statystyki policyjne podawały alarmujące dane: to właśnie na Central Street ginął codziennie jeden człowiek. I zawsze o tej samej porze: 9:33 p. m. Nie pomagały wzmożone patrole „aniołów prawa”, nie skutkowały okresowe obławy i „grzebień”, jak żartobliwie nazywano przeczesywanie każdego kąta i zakamarka. Codziennie, z benedyktyńską dokładnością ginął jeden człowiek – kobieta lub mężczyzna. Dlatego też ostatecznie skierowano tu inspektora McDevila, którego zdumiewające wprost zdolności i metody pracy zdobyły mu miano „mordołapa”, aczkolwiek przedstawiciele półświatka wyrażali się o nim jako o „antyerotomanie”, „tropicielu dusicieli” lub po prostu „policyjnej świni”.

Nie pomagały żadne zamachy na jego życie, zawsze wychodził z nich obronną ręką. Sławny w kronikach policji stał się zamach na McDevila dokonany przez „Krwawego Pastora”. Recydywista ów, szczycący się niezawodnym rzutem buzdyganem o wadze stu pięćdziesięciu funtów (51 ofiar), zasadił się na inspektora na rogu Tower Street i Osiemnastej Avenue. W chwili, gdy inspektor przechodził na drugą stronę ulicy (*nota bene* paląc papierosa marki „Peer 9”, bandyta uruchomił zbrodniczy aparat, ale źle obliczył trajektorię lotu, w związku z czym nastąpił tak zwany efekt zagięcia krzywej czasu i śmiertelny buzdygan walnął w lampę, którą złamał.

„Krwawy Pastor” podążył za swoim „narzędziem pracy”, ale nie zdążył po nie sięgnąć, bowiem został spisany za przechodzenie przez jezdnię w niedozwolonym miejscu, wandalizm i pijaństwo (2,2 promila!), a na dodatek wręczono mu plakietkę Stowarzyszenia Ojców Bezrobotnych i zaproszenie na Wieczór Ballad Samurajskich.

Inspektor McDevil obnażył przegub ręki i spojrzał na swego „Longinusa” – była 9.32 p. m. Pozostała jeszcze minuta. Ze stoickim spokojem dokończył papierosa, wyrzucił go na ziemię, dokładnie zdeptał, włożył ręce do przepastnych kieszeni trencza z wielbłądziej wełny i czekał.

Dziesięć sekund... Nagle jego delikatne błony uszne poraził piskliwy, przechodzący w charkotliwe rżenie krzyk dochodzący z domu naprzeciwko, mniej więcej z dziewiętnastego piętra. Krzyknął w ciemność:

- Jones!! Za Mną!! – i popędził do ziejącej mrokiem bramy.

Po stromych starych, zmurszałych schodach biegł na górę. Mijał brudne, pozieleniałe od wilgoci klatki, przedzierał się poprzez resztki jakichś libacji. Wreszcie stanął na dziewiętnastym piętrze. Serce waliło mu jak młotem, a krew bystro pulsowała w skroniach. Przed sobą miał stare, poobijane drzwi bez klamki. Pchnął je silnie i rozwarł. Na podłodze...

(O tym, co ujrzał inspektor McDevil na podłodze, już za tydzień)

OLAF (Andrzej Józwiak)

„Tygodnik Żakowski” 27 września 1973

Komentarz (następnego) naczelnego:

Mamy tu oto kolejny przykład erupcji narracyjnego talentu Andrzeja Józwiaka, współpracującego z „TŻ” już po zakończeniu nauki w naszym liceum w czerwcu 1973. Niestety, nie wiemy, czy ciąg dalszy nastąpił, ponieważ nie ma go w archiwum „Tygodnika”. Czy w ogóle jakiś ciąg dalszy został napisany? Wątpię: znając ironiczny dystans Andrzeja do dobrze utwardzonych form literackich, sądzę, że porzekał on na odcinku pierwszym, igrając kpiarsko z dobrze utrwalałymi przyzwyczajeniami czytelniczek i czytelników.

Juliusz Tyszka